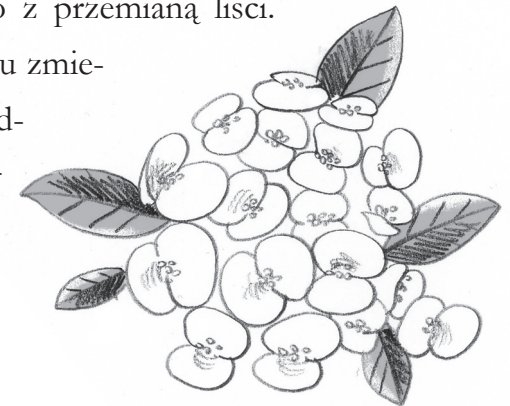


Rozdział 1

W którym Panna Euforgia wkracza po raz pierwszy w życie Marty

Trudno powiedzieć, co Panna Euforgia robiła w XXI wieku. Już jej imię brzmiało, jakby pochodziło z innej epoki. Nie było oczywiście jej winą, że takie wybrał jej tata, wielbiciel roślin, a szczególnie wilczomlecza, którego łacińska nazwa to właśnie *euphorbia*. Tak, szczególnie kochał tę zieloną roślinkę, powszechnie nieznaną, której piękno jest związane nie tyle z kwiatami, co z przemianą liści.

O określonej porze roku zmieniają one bowiem w środku kolor, stając się ciemne, i tworzą ciekawy kształt serca.



Spod ręki Euforbii również wychodziły rzeczy niezwykle, a potrafili je docenić tylko prawdziwi konesery. Umiała sprawić, że miały w sobie dużo słodczy.

Chyba można więc stwierdzić, że imię Panny Euforbii do niej pasowało. Nikt nie znalazł jej prawdziwego nazwiska i dla wszystkich była po prostu Panną Euforbią, zapisaną dużymi literami. I choć miała już swoje lata, przykładła wielką wagę do tego, żeby ją tak właśnie nazywać.

Panna Euforgia posiadała własny sklepik w mieście, w połowie pewnej opuszczonej ulicy. Stał w typowej okolicy, do której można trafić albo przez przypadek – wtedy znaczy, że się zgubiliśmy – albo dlatego, że właśnie tego miejsca szukaliśmy. Cała ulica wyglądała podobnie. Naprzeciwko sklepiku znajdował się tylko długi mur z kilkoma odrapanymi graffiti, a po bokach rząd zardzewiałych bram starej fabryki, zamkniętej wiele lat temu. Nie mieścił się tam ani supermarket, ani sklep mięsny, ani piekarnia. Nie było też sklepu żelaznego czy fryzjera. Dlatego cukierenka, mimo że maleńka, tak bardzo się w tym miejscu



wyróżniała, choć na jej obecność wskazywał jedynie skromny, ręcznie malowany szyld – kolorowy punkcik w szarości ulicy.

Tak więc Panna Euforgia prowadziła cukiernię. Nauczyła się tego fachu jako dziewczynka od swojej cioci Marii, która z kolei przejęła go od ciotki Adeliny, ta zaś od cioci Elwiry. Wiedza, u kogo pobierała nauki ta ostatnia, ginęła w mrokach czasu, jednak z pewnością zadbała o to jakaś prapraciocia. Cukiernictwo było w rzeczywistości tradycją kobiet z tej

rodziny i podjęte przez ojca Euforbii próby uczynienia z niej ekspertki od botaniki spęzły na niczym. Zainwestował on większość swoich oszczędności i kupił ten sklep, kiedy była jeszcze studentką. Pomalował go na zielono z zamiarem przekonania córki, że szczęście i satysfakcję dadzą jej kwiaty i rośliny. Jednak nic nie można było zrobić, jedyną prawdziwą radość sprawiały Euforbii tylko czekolada orzechowa, krem karmelowy i biszkopt. Tak więc ojciec w końcu musiał zrezygnować i ostatecznie przywyknąć do tego, że córka, zamiast zostać florystką, poprowadzi cukiernię, którą urządziła właśnie w tym sklepie.

Miejsce to było niemal niemożliwe do znalezienia, ale rzadko puste. Przez witrynę cukierni co rusz widziano jakiegoś klienta gawędzącego z Euforią czy odbierającego paczuski przewiązane wstążką. W sumie pierwszy raz zauważało się to miejsce przypadkiem. Później wracało się już do niego z własnej woli. A był więcej niż jeden dobry powód, żeby to zrobić.

Tak samo rzecz się miała również z Martą pewnego popołudnia na początku lata, gdy słońce swoim

cieplem i światłem zapowiadało bliski koniec roku szkolnego. Dziewczynka wybrała się na spacer z babcią, kiedy nagle wydało się jej, że się zgubiły. Nic w tym dziwnego: babcia, w większości spraw niemal pedantka, zawsze miała kłopoty z orientacją w terenie. W rodzinie była znana z chodzenia z głową w chmurach i bycia nieustannie roztrzępaną, a szczególnie słynęła z braku poczucia czasu. Dziadek okropnie się denerwował z powodu jej ciągłego spóźniania się, na temat którego powstawały smakowite anegdoty opowiadane podczas rodzinnych obiadów. W każdym razie tego popołudnia babcia i wnuczka miały dobre wytłumaczenie dla swojego zablądzenia. Nigdy dotąd nie zdarzyło się im zapuścić w ten labirynt uliczek, chociaż znajdował się niedaleko od domu. Szarość okolicy i brak sklepów zawsze jakoś je zniechęcały.

Zdarzyło się więc, że Marta znalazła się przypadkiem po raz pierwszy przed cukierenką Panny Euforbii i stanęła jak rażona piorunem.

Od razu rzuciło się w oczy, że nie jest to cukiernia jak wszystkie. W innych znajdowały się tacki pełne

lukrowanych ptysiów, rurek z kremem, smakołyków z ciasta francuskiego, pięknie wyeksponowanych dla przywabienia klientów. Ale nie u Euforbii, tu nie było ani jednego ciastka. Na pustej ladzie leżała tylko złożona na pół karteczka w zachwycającym kolorze cukierkowego rózu, a na niej napisano zielonym atramentem jedno jedyne zdanie, niemożliwe do odczytania przez witrynę.

Trudno było oprzeć się pokusie, żeby nie wejść do tego niezwykłego miejsca.

„Dzyń dzyń” – zadzwonił pozłacany dzwoneczek przy drzwiach. Przytwierdzony do ściany na pewnej wysokości zawiadamiał swoim dźwiękiem o wejściu klientów. Marta i babcia nagle, jakby bezwolnie, znalazły się wewnątrz sklepu. Przez chwilę miały wrażenie, że przyciągnął je tu jakiś rodzaj magii.

W środku pomieszczenie wydawało się większe niż widziane z zewnątrz: były tu pusta lada, stara kasa stojąca na jeszcze starszej drewnianej komódce i kilka krzeseł z kutego żelaza ułożonych wokół metalowego stolika, stojącego przy ścianie. Szczególnie uderzało

światło, mnóstwo światła. Pochodziło prosto z witryny, która zdawała się łowić każdy zabłąkany promień słońca i skupiać go wewnątrz siebie. Marta podeszła do bilecika, który zauważyła z ulicy, i przeczytała głośno znajdujący się na nim napis: „Od Panny Euforbii – ciasteczka na miarę”.

– Babciu, co to znaczy „ciasteczka na miarę”?

– To znaczy... to znaczy, że...

Starsza pani w gruncie rzeczy nie miała bladego pojęcia.

– Bez wątpienia to znaczy, że muszą być bardzo wyjątkowe – doszła samodzielnie do wniosku Marta i babci nie pozostało nic innego, jak tylko jej przytaknąć.

Odpowiedź wnuczki miała sens, choć ani ona, ani babcia w tej chwili nie potrafiły wyjaśnić, co tak naprawdę mogło znaczyć „bardzo wyjątkowe”.

– Czy jest tu ktoś? – zapytała w tym momencie babcia, ale nieśmiało, szeptem. Atmosfera tego

